

długo, aż ten ducha wyzionął. Do chwalebnych jego czynów, jak sam to głosił, należało i to, iż porwał 11 dziewcząt murzyńskich, które stały się ofiarą jego wyuzdania, a jaki był ich los, możemy wyobrazić sobie, jeżeli uwzględnimy, że widok ciął poszarpanych batem, sprawiał mu rozkosz cieleśną...

Do innych czynów chwalebnych p. Petersa należały także fakty, którymi wprost chlubi się w swej książce: „Meine Emin-Pascha Expedition“, a mianowicie, iż „strzelał do murzynów na drzewach jak do wróbli“, że plemiona Masongów wypędził z ich siedzib, że pewnego pasterza, który mu nie ustąpił z drogi, celnym strzałem położył trupem, że pewnego dnia spalił sześć wsi murzyńskich itd.

Gdy te fakta piętnował poseł Bebel, na to odrzekł z zimną krwią Peters: Wypędziłem te plemiona ale za to, że one poprzedniego dnia spędziły moje osły z pastwiska, strzelałem do murzynów, ależ to byli nieprzyjaciele moi, co zaś do tego, że spaliłem sześć wsi jednego dnia, byłoby to bardzo brutalnem, gdyby to były wsie bawarskie, lecz to były małe nędzne wsie, które w ciągu godziny spaliły się. — W ten sposób odpierał zarzuty p. Peters. I oto człowiek o zupełnym zaniku poczucia moralnego został rozsądnikiem kultury niemieckiej w Afryce — widocznie taka też jest i ta kultura!

Wszystkie powyższe fakta podał redaktor Gruber w „Münchener Post“, lecz p. Peters uznał za stosowne obrazić się i wytoczył proces o obrażę czci. Urzędowi świadkowie nie tylko, że fakta te potwierdzili, ale dodali wiele nowych szczegółów. Major Donath tak się o nim wyraził: „największym zbrodniarzem, jaki kiedykolwiek stał przedemną, jest dr. Peters“. Przy śledztwie wydobyto różne ciekawe momenta z poprzedniego życia Petersa. Dość przypomnieć tutaj, że niedawno zmarłemu fabrykantowi Kruppowi, osobistemu przyjacielowi cesarza Wilhelma II, Peters przez lat 15 służył do zaspokajania popędu piciowego. Ładnie rozpoczął swą karierę pruski kulturträger!

Po stwierdzeniu zarzuconych Petersowi występów, sąd niemiecki wydał wyrok... — „*risum teneatis amici*“ — redaktor Gruber został skazany na grzywnę w sumie 500 marek i ponoszenie kosztów procesu. Takimi sądami szczyli się państwo „sprawiedliwości i bojaźni bożej“.

Ryciny nasze przedstawiają: Petersa w towarzystwie adwokata dra Rosenthala, red. Grubera i jednego ze świadków maj. Donatha w chwili, gdy po wydaniu wyroku opuszczają pałac sprawiedliwości w Monachium.



Filomena Łopatyńska.

Filomena Łopatyńska.

Bohaterką dotychczasowej kampanii lwowskiej opery w Krakowie, jest bezsprzecznie p. Filomena Łopatyńska. I to z dwu względów. Raz dlatego,

iz dwoma partjami, które dotąd śpiewała, tj. Santuzą w „Cavallerii“ i Halką, wysunęła się na czoło lwowskiej drużyny artystycznej i wstępnym bojem zyskała sobie uznanie krakowskiej publiczności, powtóre dlatego, iż jest jedyną przedstawicielką partji dramatycznych.

Sympatyczna ta artystka jest siłą istotnie nieocenioną. Obdarzona głosem dużym, doskonale wykształconym, dźwięcznym i miłym zarówno w średnicy jak i w tonach górnych, włada nim z wielką pewnością, umiając wydobyć tony szczerze liryczne, albo akcenty na wskroś dramatyczne. Artystka wytrawna, ze sceną obyta, bo na niej od wielu lat pracuje, w każdej roli tak w operetce, jak w operze jest doskonałą. Ułatwia jej to w znacznej mierze miła, ujmująca powierzchowność i wdzięk naturalny, tak cenne zalety artystki.

Karyerę sceniczną rozpoczęła p. Łopatyńska na deskach teatru ruskiego, którego kierownikiem był podówczas jej mąż, obecnie redaktor „Rusłana“ i autor dramatyczny. Zaangażowana następnie przez dyr. Pawlikowskiego, przeniosła się na scenę lwowską, gdzie początkowo śpiewała partye operetkowe. Równocześnie kształciła się dalej u prof. Wysockiego i dyr. Baracza, a rozwijający się coraz piękniej jej materiał głosowy zwrócił na utalentowaną artystkę powszechną uwagę. Powierzano jej więc partye operowe, a powodzenie i uznanie towarzyszyło jej stale.

W ubiegłym sezonie operowym we Lwowie śpiewała bardzo rzadko. Dlaczego — pozostanie zapewne tajemnicą dyrekcyi. Kraków ma więcej szczęścia. P. Łopatyńska śpiewała tu dotąd dwa razy Santuzę i raz Halkę a śpiewać ma jeszcze Rachelę w „Żydówce“ Halevy'ego. Wszystkie te partye mają podkład dramatyczny, wymagają więc nie tylko głosu silnego i dźwięcznego, ale nadto gry dobrej i pewnej. Pod tym względem odpowiedziała p. Łopatyńska najzupełniej wymaganiom, a w ulubionej swej partyi, w „Halce“, uzyskała sukces wprost nadzwyczajny. Głosowo usposobiona doskonale, śpiewała artystka trudną tę partyę z ogromnem przejęciem, wkładając w nią cały zasób swych skarbów wokalnych. Arya „gdyby rannem słońcem“, arija przepiękna i tak rzewna, dała p. Łopatyńskiej sposobność wykazania, iż głos jej brzmi równie pięknie w melodiach lirycznych. tr.

Z lwowskiego bruku.

(Kanikuła. — Popisy. — Wąż, ale nie morski. — Inne węże. — O pewnej damie, jej mężu i kuzynie. — Przy winie. — Nagły powrót i konferencja domowa. — Wspólny wyjazd. — Padlina. — Pierwszy występ prezydenta. — Lwów bez wrażeń artystycznych. — Temat do interpelacji).

A więc zaczął się sezon martwy; kanikuła w całym tego słowa znaczeniu, którą poprzedziły atrybutne popisy wszystkich zakładów przeważnie żeńskich i przeważnie muzycznych. Niektóre z tych popisów były co prawda bardzo zajmujące, ale wytrzymanie kilku godzin w sali koncertowej podczas takich upałów nie należy do przyjemności tak samo, jak i pisanie w tym czasie listów „z bruku lwowskiego“.

Przyznać jednak potrzeba, że pomimo kanikuły tematów mamy dość i nie potrzebujemy szukać węży morskich. A nawet mieliśmy prawdziwego węża i to lądowego, którego znaleziono gdzieś w wagonie kolejowym i zabito. Zgubiła go podobno w wagonie jakaś przystojna przyrodniczka, która wiozła ten okaz na wystawę przyrodniczo-lekarską. Wąż — jak się okazało — nieszkodliwy, jest już nieboszczykiem, ale żyje w pamięci lwowskich obywateli, którzy wyjeżdżając teraz na lato, rozglądają się po wagonie kolejowym, czy nie ma jakiego węża. Zwłaszcza panie nerwowe odbywają teraz przeważnie podróż stojąco w obawie, aby im się nie zabłąkał jaki nieproszony wąż...

A takich nieproszonych węży jest w tej chwili wielkie mnóstwo. Teraz, kiedy wszystkie piękne panie nagle uczuwają w sobie jakiś błąd, jakąś wadę serca czy innego organu, jakąś bodaj niedo... jakże tam — aha! — niedokrewność, jakiś jednym słowem brak, który tylko za granicą da się usunąć, uzupełnić, naprawić...

Taka właśnie dama, która przez cały rok pytała rozmaitych lekarzy, co jej być może i dowiedziała się nareszcie, że powinna wyjechać koniecznie do Franzensbadu, w zeszłym tygodniu zostawiła męża i dzieci i wyjechała. Zabrała ze sobą tylko najkonieczniejszą toaletę i jakiegoś kuzyna, który przypadkowo zapadł na tę samą chorobę i

jechał się leczyć na nerwy, czy coś podobnego. Mąż oczywiście nic nie wiedział o tem, że jej kuzyn wyjeżdża, bo już dawno nie podobał mu się ten kuzyn i jego bywanie i kwiaty, jakie swojej kuzynce przynosił i książki do czytania i inne przyjemne rzeczy, ot, jak zwykle kuzyn kuzynce. Trzeba jednak dla ścisłości dodać, że mąż, chociaż wiedział o wielu rzeczach, nigdy żonie żadnych wyrzutów nie robił, bo w gruncie rzeczy nie miał do tego żadnej realnej podstawy a na samych domysłach tylko chyba c. k. prokurator buduje akt oskarżenia.

Trzeba nieszczęścia, że pan mąż zwąchał się z jakimś dawnym kolegą i od słowa do słowa zaczęli mówić o żonach, o wyjazdach i innych małżeńskich sprawach. Dwaj słomiani wdowcy poszli z knajpki do kawiarni i tu pod wpływem wina, zmieszanego z innymi alkoholami, wpadli w rzewny ton...

I teraz kolega zaczął od słów:

— Wiesz, nie chciałem ci tego mówić, bo by cię to bolało...

I tu wyśpiewał wszystko, co wiedział. Słyszał od znajomego, który znów słyszał, że sąsiad mówił, jak to jeden facet ma brata, a ten brat zachodzi do swojej kuzynki, mężatki... aha! No i ludzie mówią o tem bardzo głośno, nawet coraz głośniej, nawet podobno różne nieładne rzeczy sobie podają...

Mąż wytrzeźwiał odrazu. Pożegnał się, poszedł do domu, zaglądnął do rozkładu jazdy i pojechał tej samej nocy „blichem“...

W trzy dni później wrócił a z nim żona. Od kilku dni wcale nie pokazuje się na ulicy. Równocześnie przyjechała z Krakowa jej matka, wezwana telegraficznie na sąd. Chodziło o rozsądzenie, a raczej o odpowiedź na pytanie: czy wolno kuzynowi i kuzynce zameldować się w obcym miejscu jako mąż i żona, a to w celu ochrony honoru kuzynki?

Matka przykładami ze swego życia odpowiedziała, że wolno. Ona sama tak często robiła i to tylko dlatego, ażeby jako samotna mężatka w obcym miejscu uniknąć nagabywania. Mąż był przeciwnego zdania i poprosił stanowczo, aby się to

już nigdy nie powtórzyło. Przyrzeczono i przyjęto. Teraz wyjadą razem, ale już nie do Franzensbadu, bo żona w międzyczasie nabawiła się już innej choroby, podobno żołądkowej.

Poza tem we Lwowie nie wiele nowego. Jakaś właścicielka zakładu pogrzebowego urządziła swemu personelowi letnią kurację, bardzo oryginalną. Zdechł jej koń karawaniarski a ona poćwiartowała jego ciało i żywiła niem swoich „żałobników“, tj. tych, którzy robią honory nieboszczykom, odprowadzając ich na cmentarz w czarnem, galowem ubraniu. Dobra pani pójdzie podobno do kozy za żywienie ludzi padliną i to cuchnącą.

Niezależnie od tego mieliśmy w Radzie miejskiej kanikularną interpelację o komarach. Radny Feldstein, który razem z opozycją był przeciwny wyborowi p. Ciuchcińskiego na prezydenta miasta, już od początku jego prezydentury czekał na sposobność, aby nowego prezydenta wpędzić w kozi róg. Aż oto zainterpelował na onegdajszym posiedzeniu Rady miasta:

— Co pan prezydent zamierza uczynić, aby wytępić plagę komarów, która tak bardzo daje się we znaki mieszkańcom?

P. prezydent nie poznał się na żarcie, gdyż interpelacja trzymana była w tonie bardzo seryoznym, poskrobał się więc w cznpryne, pomyślał chwilę i powiada, że postara się zle usunąć i odda sprawę fizykatowi miejskiemu do zbadania i zapobieżenia pladze.

To pierwsze zasypanie się prezydenta zrobiło zresztą tylko słabe wrażenie i sam ciekaw jestem, co odpowie fizyk miejski, gdy mu przydzieli odpowiedni kawałek... Pewnie stanie, jak fizyk!

Tęskno nam bardzo za teatrem i są ludzie, którzy na palcach dni liczą, kiedy do nas wróci operetka. Nawet Colosseum zamyka swój lokal na lato, tak że gdyby nie cyrk, jaki się tu wkłęca od 15 b. m., Lwów byłby przez dłuższy czas pozabawiony wszelkich wrażeń „artystycznych“.

A jedyna „Olympia“ dla tylu słomianych wdowców stanowczo nie wystarczy. Może który z radnych poruszy ten nowy brak na posiedzeniu rady, np. pan Jonasz?